**O niekorzystnych przemianach materii i tyranii grawitacji**

Heca hecą, a latka lecą – żachnęła się rzewnie Żaneta z Żyrzyna. Przebóg! Toż to huk czasu od studiów, a tu znienacka, gdy jak co dzień sięgała po świeżo zaparzoną nescafé i croissanta, przyszła wieść o zjeździe całego rocznika. Jaźń zawrzała od kolaży minionych zdarzeń jak po zażyciu ayahuaski. Ongiś, studiując w Gołębniku, tworzyli supertrio à la papużki nierozłączki. Ważysław z Horyńca-Zdroju miał żyłkę hazardzisty. Bez wahania, acz nie bez cholagogi, żywił się w hardcore’owym [hardcorowym] barze „Smok” – takim fast foodzie à rebours, wartym wszystkich gwiazdek Michelina. Modus operandi polegał w nim na chyżości konsumpcji i utrzymywaniu wzrokowego kontaktu z talerzem. Chwila nieuwagi, a już czyhające zewsząd sztućce dokonywały redystrybucji około trzytygodniowego bigosu, lokując go w trzewiach słabo uposażonych krakusów z półświatka. Żądanie zwrotu korzyści było haniebnym faux pas zagrożonym honorowym rękoczynem, więc nikt o byle bigos nie ważył się swarzyć. Raz jednak pewien zhardziały chojrak z ciupażką pod cuchą, ani chybi eks-Podhalanin, miał czelność ustrzec swoje flaczki przed grabieżą. Na pewno do dziś mu one bokiem wychodzą. Nim zaczął degustację, z nagła wyrósł przed nim krępawy rambo z Półwsia Zwierzynieckiego otoczony wianuszkiem mlaskotów. – „Ani się ważcie, żałosne lajkoniki!” – huknął niby-juhas, półstojąc. – „Ty huncwocie, z chacharami zadzierasz? Wyny stąd!” – wycharczał zwierzyniecki andrus. Chwycił nowotarżanina wpół i tak nim wzwyż wywinął, że ladaco mimo braku łyżew wykręcił potrójnego toe-loopa, lecz zanim się złożył do lutza, oddał hołd sile ciążenia.

Ważysław był depeszem. Nosił ramoneskę i jeansy [dżinsy] Levi’sa z Peweksu [Pewexu]. Urodą mógłby dziś konkurować z George’em Clooneyem. Wybywał nad Sudół Dominikański, by w dolinie Rozrywki zaczytywać się w Rabelais’m i Joysie. Został ghostwriterem, ożenił się z pół-Honduranką i przepadł bez wieści, niestety, nie w Appalachach - w Górach Harcu [Harzu]. Z kolei Róża, supergrzegórzczanka, mieszkała ostatnio w Starej Łomży przy Szosie. Jako zagorzała fanka Classix Nouveaux ćwiczyła callanetics do rytmu new romantic. Marzyła o karierze w show-biznesie [show-businessie], licząc, że spocznie kiedyś na Pęksowym Brzyzku. Obstalowała sobie półkę na trofea: Super Wiktory, nagrody Grammy i - daj Bóg - Oscary. Dopadła ją jednak taka niemoc grania, z jakiej słyną „Organy” Hasiora na przełęczy Snozka. Skończyło się więc na nominacji do SuperJedynek, kilku wzmiankach w Super Expressie i megahejcie na Pudelku. Jednym słowem, miał być Mount Everest, ewentualnie Mont Blanc, a wyszła co najwyżej Magurka, i to w Beskidzie Małym. Porażka. Dzwony w kościele św. św. [Świętych] Piotra i Pawła zabiły na Anioł Pański, a Żaneta wciąż snuła wspomnienia, niczym osnuwik bądź snówek swe pajęcze sidła. Wtem zakłuł ją niepokój. Czymżeż sama się mogła pochlubić po latach? Ubożuchne portfolio: wiek balzakowski plus VAT i sieć zmarszczek niczym dorzecze Missisipi. Niegdyś o włos by została twarzą L’Oréalu, dziś z aparycją wychuchola bycie „twarzą rajstop” zakrawa na mrzonkę. Na próżno stosowała lwipazur zwany czepotą i suplementy z pierzgi. Na nic zdał się wampirzy lifting z efektem push-up. „Bo to, pani kochana – zdradziła jej wizażystka – są zmarszczki grawitacyjne. By zyskać gładką twarz, trzeba wystrzelić się w Kosmos [kosmos].”